



DODATEK LITERACKI

DO „DZIENNIKA WILEŃSKIEGO“.

Ostatnie utwory Reymonta.

Pod znakiem pesymizmu i mistyki (1923—1925).

Urywek z większej całości.

Pomiędzy rokiem 1923, a 1925 dokonała się w duszy Reymonta głęboka acz nieuchwytna zrazu, przemiana. Spowodowały ją różne czynniki. Przedewszystkiem układ stosunków w Polsce niepodległej. Reymont był niesłychanie wrażliwy na wszelkie niedomagania Ojczyzny. Odbolał każde niepowodzenie. Duszę jego zapełniały mrokiem pożogi wojenne, szalejące u granic Rzeczypospolitej. A gdy w r. 1920 barbarzyństwo wschodnie docierało już do stolicy, wówczas Jego wylekłym oczom zamajaczyły apokaliptyczne, złowrogie obrazy. Przytem nawiedził go mistycyzm, umacniany ówczesną zbiorową ekstazą religijną. Patrząc na Gehennę współczesnej Rosji, — Reymont jakby stracił na chwilę wiarę w dostojność rodu ludzkiego. Zjawił się w jego duszy gość, dotąd niewidziany — pesymizm *).

Kłótnie i warcholstwa sejmowe, wyuzdane lichwy i zdzierstwa, wśród ludności ostatecznie zniechęcającej, niechlujność etyczna jednostek czołowych, rozwydrzenie demagogji, grasowanie próżniactwa, jątzerzenie się sprawy żydowskiej — wszystko to jeszcze bardziej pogłębiało ów nastrój mistyczny.

W takim rozgoryczeniu, w takim rozbieciu ducha — zasiadł Reymont do pisania fantastycznej klechdy zwierzęcej p. n. „Bunt“. Snują się tutaj w tej dziwnej opowieści o dzie-

jach zrewoltowanego motłochu zwierząt, echa osobistych zawodów, odgłosy bolesnego zwątpienia, cienie gorzkiej niewiary w kulturę współczesną. W ostatecznej swej konsekwencji, alegorja Reymontowska wyraża skrajny pesymizm, pesymizm wynikający z przypuszczenia, że jednak ludzkość może kiedyś, odwrócić się od człowieczeństwa, zbuntować się przeciw niemu i ogłosić tryumf zwierzęcych instynktów. Był to zaiste wprost katastrofalny przewrót w pojęciach twórcy, który dotąd wznosił ołtarze i rozpałał ognie ofiarne ku czci najwzniołszej ludzkości, to jest tej, która z dnia na dzień mozolnym wysiłkiem dorabia coraz doskonalszej cywilizacji. Przepaść istotnie nieprzebytadzieli jego entuzjizm, z czasów „Nil desperandum“ od malancholji, zaczajonej między wierszami „Buntu“.

„Święte maksymy, pisał w trylogji Kościuszkowskiej, niby orłowie, wynosiły się z kurzawy bitew i krwawych zamętów i niosły dobre nowiny po rubieżach dalekich ziem i ludach jęczących w niewoli. Paryż stawał się już mózgiem i ramieniem uciśnionych milionów. Stawał się także dręczącym koszmarem ciemniców, a słodkim snem o wiśniowych sadach, rozkwitłych na wiosnę dla ciemionych.

Niekiedy w tej tytanicznej walce z szatanem przybierał nieubłaganą postać kata, lecz jeszcze i wtedy, szarpiąc własne wnętrze, zbawiał człowieczeństwo („Nil desperandum“).

W „Buncie“ ani śladu owej promiennej wiary w zbawczą siłę przewrotu. Raczej przeciwnie. Reymont ze smutkiem wyznaje, iż z kałużą krwi rozlanej w imię rzekomego uszczęśliwienia milionów, podnosi najczęściej swój łeb ohydny hydra zbydłęcia.

Adolf Nowaczyński, pisarz dostatecznie

*) W r. 1924 dn. 18 stycznia, Paweł Cazin świetny znawca kultury polskiej serdeczny przyjaciel Reymonta, otrzymał od niego smutny dosyć list. Autor „Chłopów“ zwierzał się tam ciepło i rzewnie, ze swoich gorczy i ze swych uczuć religijnych.

„Otrzymałem „La Revue Bleue“ i tę wspaniałą „Vie-catholique“. Tak, mówię to otwarcie, jestem wierzącym i katolikiem... Czasy, które przeżywamy, zasnuwają mnie, i boję się gorszych, ale nadzieja moja w tem, że może ja ich nie doczekam“. (Wiad. Liter. 1926 Nr. 7).

spoufany z Reymontem, aby mógł wyrozumieć Jego intencje, uważa „Bunt“ za kassandryczne veto — autora „Chłopów“ przeciw współczesności, obmierzłej niekiedy giełdziarskim wrzaskiem i licytacją ideałów.

„Tu trzeba zwrócić tylko uwagę, pisze, tych współczesnych, co Go przeżyli, na jedno, jeszcze na jedno.

Pisarz, który przed wskrzeszeniem niepodległej Polski dał jednej z powieści swoich tytuł „Nil desperandum“ po sześciu latach niepodległego państwa, pisze posępną alegorię, w której grozi zagładą cywilizacji copperskop całej ludzkości, ale wywodzi swe prawo do groźby i opiera swój horoskop swoje Kassandryczne wrażenie, swoje desperandum... na tem, co widzi, na co patrzy dokoła u swoich w pobliżu“. (Myśl Nar. 1925 — Nr. 11).

Drugim czynnikiem, który wzmagał pesymizm — była choroba. Osłabione nerwy odmawiały częstokroć posłuszeństwa. Skołatanie serce było obawą o los plewienia, dla którego wypaliło się w ofierze całopalnej, bezsenne oczy widziały okropności nieistniejące, a myśl świadoma nadchodzącego kresu, oswajała się z wiecznością.

„Cały czas choroby, mówi naczynny świadek, Reymont spędzał na czytaniu, rzecz ciekawa, że lekturę Jego stanowiły wyłącznie dzieła, traktujące o życiu pozagrobowym, oraz Ewangelja. Pod wpływem ich Reymont doznał musiał poważnych przeobrażeń wewnętrznych, stale bowiem wyrażał żal, że nie ma już teraz sił, teraz, gdy „właśnie poznał prawdę, gdy dopiero dowiedział się co należy powiedzieć“. O swej dotychczasowej działalności Reymont wyrażał się z lekceważeniem „wszystko com dotąd zrobił — było głupstwem, teraz dopiero przejrzałem i wiem, jak należy pracować“. (Gazeta Poranna Warszawska J. W. z życia Reymonta).

Zagłębiając się w mistycznym sensie bytu, Reymont dochodził do tej wyżyny poznania, skąd widzi się całokształt spraw ludzkich zdumiewająco uproszczony. Nikną wątpliwości. Sprzeczność ustępuje miejsca dogmatycznemu przeświadczeniu. Nierozwikłane dręczące za-

gadki — wydają się zabawnym dzieciństwem w świetle odwiecznej prawdy.

I nie dziwnego, że Reymont teraz zaczyna poszukiwać najprostszych form artystycznych, dla wyrażenia swojej treści duchowej. W tece pośmiertnej spoczywa, według relacji najbliższych z otoczenia poety, jakiś niewykończony dramat mistyczny, wzorowany na średniowiecznych misterjach. Ponadto autor „Chłopów“ przygotował do druku ludowe legendy o Chrystusie. Posługiwał się tedy najbardziej pierwotnymi typami utworu literackiego. Da się to wytłumaczyć jedynie w związku z duchową pracą Reymonta, zmierzającą do osiągnięcia jedności w poglądzie na świat, oraz w związku z usiłowaniami zdobycia tej prostoty i głębi wyrazu, jaka cechuje utwory, zrodzone z bezpośrednich natchnień religijnych. Nad Jego duszą snuły się myśli mistyczne, jak mgły poranne nad tonią wodną. Lada chwila miały się oderwać i ulecieć w niebiosa. Widocznym kształtem tych myśli były dwie książki, przetkane światłami nadziemskich tajemnic „Legenda“ i „Osądzona“. I w jednej i w drugiej, osnową wydarzeń — jest stosunek prostaczka do nadprzyrodzonej treści życia. Religijność wchodzi do kmieć duszy jak aniołowie do zagrody Piasta: rozlewa łagodne blaski i darzy królewskością. Zwyczajną chłopkę czyni „mistrzynią bolesnych tonów, czarownego rymu“. Reymonta pociągnął naiwny urok wnętrza dusz prostych, zamysłonych o Bogu, jak przydrożne kapliczki wiejskie. Patrzył w nie jak w obrazy skromnego Fra Angelica, gdzie szary osiołek, poważny wół i garbaty wielbłąd zbożnie kłęczą przed żłobkiem Jezusa. Wszystko zapowiadało, że Reymont stanie się poetą religijnego prymitywu, że stworzy nowy rodzaj religijnej powieści ludowej.

Raz jeszcze wrócił myślą do Ziemi Chełmskiej. Chciał pisać epos o martyrologii Unitów. Dzieje bohaterstwa religijnego miały dla Niego obecnie słodki urok. Jako człowiek opętany rzeczywistością gromadził fakta, notował drobne wypadki, skrzętnie zbierał szczegóły z dziejów Unii. Nawet w mistycyzmie był realistą...

Z. Falkowski.

Nad polskiem morzem.

I.

Polskie morze... Dumnie brzmią te słowa w ustach naszych. Jest jednak w świadomości posiadania skrawku Bałtyku więcej romantyzmu niż poczucia państwowego. Nie mieliśmy zresztą nigdy wielkiego poczucia ciągłości historycznej nad Bałtykiem. Trzeba było zawsze przekonywać stany szlacheckie w Koronie i W. Ks. Litewskiem o znaczeniu morza. Aby przychylnie usposobić dla elekta Zygmunta III „potomka plemienia krwi Jagiellów“ Królowa Anna znaczenie morza podnosiła jako łącznika w sojuszu Polski ze Szwecją przeciwko Danji i Moskwie: „Wiedzą waszmości, pisała w liście do sej-

mików litewskich, jako wiele na tem zależy *liberum dominium maris*, bez którego słabe są największe państwa a najmniejsze państwo morską wolnością i państwem portów ku górze się wznosi“.

Nie rozbudziło się nigdy w narodzie polskim zamiłowanie do morza. Przeklęty przesąd iż handlem nie wypada trudnić się szlachcie sprawił, iż na drodze do Bałtyku wyrósł w potęgę Gdańsk, którego nigdy nie chcieli zaludnić swoi, ustępując miejsce przybłodom i przybyszom cudzoziemskim. A przecież układ rzeczny zwracał Polskę w kierunku morza. Słabe zaczątki morskiej polityki za Zygmunta Augusta

nie znalazły poparcia w narodzie, a przeciw zawiązki floty wojennej polskiej za Zygmunta III są ważniejsze od powstania floty wojennej francuskiej za Richelieugo.

Gdańsk tak samo w ciągu wieków jak dziś zamykał wyjscie wolne na morze. Był czas, że można było to miasto wcielić całkowicie w organizm państwowy polski. Przecież Gdańsk sam oderwał się od Krzyżaków i poddał się pod zwierzchnictwo królów z plebienia krwi Jagiełłów. Przecież Gdańsk widział w swych murach posłów największych mocarstw i z nimi się układał, a mimo to odsyłał listy cesarzy niemieckich wzywające je na sejmy Rzeszy*).

Zaniedbany nie obsyłany przez ludzi, którzy by wzięli ster miasta w ręce, powoli tracił łączność państwową z Polską i zasklepił w merkantynym świecie, z którego to stanowiska oceniał swój stosunek do Polski.

Historja się powtarza.

Aby uniezależnić się od Gdańska forsownie budujemy port handlowy w Gdyni. O szukaniu innej drogi ku morzu myślano również w XVI wieku.

Na sejmie Krakowskim (1595 r.) szukano środków dla opanowania buty Gdańska. Trzeba było zażegnać tumult gdańska i wymierzyć karę za bunt w czasie pobytu w Gdańsku Zygmunta III-go. Wojewoda sandomierski Mniszek dowodził, że gdańszczenie dopóty nie przestaną się buntować, dopóki nie ugodzi się ich w handel. Doradzał spław i handel cały przenieść z Gdańska do Elbląga. Większość sejmu nie rozumiejąca doniosłości momentu opowiedziała się za środkami kompromisowymi i udaremniła energiczniejsze wystąpienie króla wobec Gdańska.

Gdańsk znowu tryumfował.

Mgły sine i szare otulały zatokę Gdańską i spływały się w jedną przejrzystą zasłonę z morzem, gdy stanąłem tego roku w Gdyni. Wyśiadamy na nowym już dworcu kolejowym, którego budowa wywołuje tyle różnorodnych i sprzecznych zdań. Wśród jednych, których oko oswoiło się z dziwłogami architektury najmłodszych, budowa dworca wywołuje zachwyt—inni przeważnie ze starszego pokolenia zrymają się na dziwaczne kształty budowli, której zdaje się największą wadą jest to, że stoi niżej toru kolejowego i nie posiada tła należytego. Sama Gdynia z dworca kolejowego jest dumna.

Kwalifikuje niedawną wioskę rybacką do rzędu miast.

W Gdyni w ciągu roku nastąpiło zmian sporo. W stronie rybackiej w pobliżu portu nie przybyło nowych budowli, natomiast bieleje szereg nowych will na Kamiennej Górze i u jej stóp. Tam przenosi się punkt ciężkości Gdyni, kuracjuszków i wypoczynkowiczów.

W roku bieżącym, podobnie jak przed laty, wyjazd nad morze należał do dobrego tonu, był modny. Stąd przepelnienie tak wielkie, iż szczęśliwym był ten, kto zdobył łóżko. Wybrańcami zaś losu byli posiadacze całego pokoju.

Zdarzało się nawet, że ten i ów nie zabezpieczywszy sobie z góry mieszkania, po da-

remnem poszukiwaniu udawał się w wędrówkę po innych miejscach: do Karwi, Oksywji, wreszcie Pucka kosztownie opłacając swój lekkomyślny przyjazd.

Los zrzucił, że stanąłem w chacie kaszubskiej, której właścicielem był najautentyczniejszy włościanin białoruski z gm. Parafjanowskiej w pow. Wilejskim. Poznałem go po śpiewnym zaciąganiu w mowie.

— Skąd się pan tu znalazł, — zapytuje. Wojna, wzięli mnie niemcy do niewoli i przysłali na roboty. Po wojnie zostałem na stałe, ożeniłem się i poszedłem „w prymy“.

— Dobrze czuje się pan tu wśród Kaszubów?

— Dobrze. Tylko to naród strasznie pracowity. Ledwo podolałem, żeby ich napędzić.

— Jeździ Pan na połów ryb!

— Jeżdżę. Tylko wciąż obojętnie. Ciężkie to rzemiosło. Żona jego ponura jak te wszystkie wilki morskie, utrzymuje izdebki w idealnym ładzie i porządku.

Niezwłocznie udałem się nad morze i do portu. Był dzień chłodny i z częstymi deszczami. Morze było złe. Ciskało spienione fale o brzeg i gniewnie szumiało. Kaszubi mówią o takim morzu, że „śmieje się“. Jest w tem określeniu ogromne umiłowanie tego morza. Kaszub w niepokoju morza widzi uśmiech. Rozumieją się dobrze on i to morze. Molo portu handlowego w Gdyni wybiega w morze o pół kilometra.

Po zgłoszeniu się do pana kapitana portu, otrzymuję pozwolenie na zwiedzenie portu.

Na waziuchnem przejściu trzeba się mieć ciągle na baczności, przed idącymi pociągami z węglem. W porcie stały właściwie cztery statki: dwa szwedzkie, jeden duński i jeden lotewski w oczekiwaniu na ładunek węgla.

Tutaj właśnie robi Polska próbę uniezależnienia się od Gdańska.

Wechodzę na statek lotewski „Mery“. Kapitan 1700 tonnowego statku z goryczą mówi, iż trzeci dzień stoi w oczekiwaniu na węgiel, którego nie mogą dostarczyć koleje polskie. Przykra to uwaga.

Sprawdzam w kapitanacie portu. Istotnie sprawność naszych kolei zostawia wiele do życzenia. Poza to wielką rolę odegrywa protekcyjizm poszczególnych dyrekcji kolejowych, przez które przechodzić musi węgiel do Gdyni lub Gdańska. Najgorszą jest dyrekcja warszawska. Gdy pociąg wjedzie na jej teren następuje zatarasowanie ruchu. Mówiono mi, że dyrekcja warszawska chętnie przepuszcza węgiel z Zagłębia Dąbrowskiego, a kosem okiem patrzy na węgiel z Górnego Śląska. I tu są względy i względziki. A w wyniku ostatecznym cierpi najbardziej nasz eksport i reputacja nasza za granicą.

Kapitan statku „Mery“ w Rydze niewątpliwie podzielił się swymi wrażeniami z Gdyni.

Jak wiadomo budowa portu ma być ukończona w 1929 r. Rząd na oddaniu tego firmie francuskiej wpadł. Zniżka franka wpłynęła na zahamowanie robót i rząd musiał dla uratowania sytuacji pójść na daleko idące ustępstwa.

*) A. Szelągowski. Walka o Bałtyk.

— A gdybyśmy zaś potrafili własnymi siłami budować? zapytuje kapitana portu.

— Panie, byłoby jeszcze gorzej. Lepiej niech już robią to francuzi. Może następne pokolenie polskie, które ukocha ideę własnego morza da ludzi, którzyby zastąpili siły obce.

Będzie to jeszcze jedna z prób, obudzenia w narodzie polskim poczucia dominium maris — panowania na morzu.

Był już zmierzch, gdy opuszczałem polski port handlowy. Wiatr dał silnie. Fale wyjątkowo szły w kierunku morza, jakgdyby wabiły za sobą cały port i łodzie daleko na pełne morze. Czy temu kuszeniu fal będziemy wierni?

Fr. Hryniewicz.

Listy z Czarnego Boru.

Jednego z chmurnych dni lipcowych, wysiadłem na przystanku kolejowym o dwanaście kilometrów od Wilna — w Czarnym Borze. Szczerą wieś — ani śladu cywilizacji miejskiej. Brak nawet dworca kolejowego, bo ekspresy mijają pogardliwie półstacyjki. Zastępuje go buda o trzech ścianach z desek, z daszkiem ażurowym, a niezamiatana chyba od wyjścia stąd Niemców. Wnętrze jej oprócz papierów i śmieci, zajmuje jedna krzywa ława, a tak wysoka, że siadając trzeba na nią podskakiwać. Okoliczni ochotnicy na jazdę koleją mogą dowolnie stać pod ścianami w oczekiwaniu pociągu. Bilety sprzedają w domku przed plantem kolejowym, i ani zewnątrz ani wewnątrz niema żadnej latarni. Pasażerowie przychodzą z ogarkami świec, lub latarkami elektrycznymi i po przyjeździe pociągu wieczorem, świecą sobie sami rozpychając się przy stopniach wagonu w czasie kilkuminutowego postoju.

Te wszystkie urządzenia europejskie, wyzwalające z więzów cywilizacji na wakacje, zbadałem później. Na razie przy wyjściu z wagonu uderzyły moje oczy cztery wyniosłe masztowe sosny, po za nasypem kolejowym prowadzące już ścieżką w czyste pole.

To reprezentantki Czarnego Boru pomyślałem sobie, pieczęcąc się poetyczną nazwą, mieszczącą w sobie czar nie byle jaki dla ludzi wiejskich, zmuszonych mieszkać na bruku.

Rozlokowawszy się w jednym z domków ocalałych tutaj po wojnie, ruszyłem w głąb otaczających horyzont sosenek.

Chmurno. Szaro. Wilgotno. Między sosną karłowatą, polanki porośnięte jałowcem i wrzosem przetykanym liśćmi paproci. Mnóstwo suchych gałązek na ziemi wśród igliwia rudego, jakieś kawałki zieloności na torfowych łączkach, jakieś oka zapłyniętych bagienek, i cisza bezdenna! Sosenki wkoło, prawnuczki owych przyplancie, podobne do nich, jak karle pokolenie do olbrzymów. Krzywe, mizerne, niektóre tylko zadzierzysto-spiczaste na wierzchołkach, starają się sobą zasłonić świat i horyzont. Jakaś beznadziejność wzrostu bije od tej karłowatości. Tylko zapach mocny zmieszanych woni sosen, wrzosów, jałowców i traw dzikich ma w sobie coś z korzeni egzotycznych i poi pierś z wileńskiego bruku jak balsam. Odczuwa się jakieś pierwobyty, jakąś dzicyzną, pustkę, — idealne miejsce na wypoczynek!

Całe kilometry takiej posępnej najeżonej płaszczyny, to pozostałość po wyniosłej przeszłości prawdziwego boru. Po drugiej stronie

plantu kolejowego, jak okiem sięgnąć, sterczy olbrzymia połać pni — między którymi rozpościerają się jagodniki, ścielą się widłaki i wystrzelają żółte polne kiście dzikiej dziewanny. W miejscach zarosłych pachnie niekiedy miodem leśnym, czasem grzybnią, a oczy szukają beznadziejnie drzew liściastych.

Niema ich tutaj!

Przeszły tedy siekiery i piły, skrzętnych najeźdźców niemieckich w czasie wojny. Rabunek miejscowy do reszta poniszczył osiedla letniskowe byłych urzędników rosyjskich. Wśród sosen widnieją szkielety i ruiny domów opuszczonych, drewnianych i murowanych i patrząc wydartymi oknami jak oczodołami trupów, strasząc widmowo. Niektóre ślady gruzów świecą jeszcze, jak plamami krwi, resztkami walających się cegieł czerwonych, między którymi nieśmiała trawa i nikłe sosenki ogłaszają tryumf życia. W niektórych zakątkach węzłowato wiją się rowy strzeleckie, jeszcze oplecione zardzewiałą plataniną drutów kolezastych...

Tak! szła tedy wielka wojna między dwoma najeźdźcami, jak między owymi gryzącymi się szczurami, po których pozostały tylko obumierze... ogony, to karłowata dzikość ziemi i lasu.

Beznadziejny smutek przechadzać się musi tedy w długie dżdżyste jesienne dni i w ciemne noce, na tych pustych przestrzeniach, gdzie wśród zarośli włóczą się wilki, napelniają las wyciem i podchodząc pod ocalałe domki, straszą psy szczekające z trwogi.

W tej smutnej okolicy, przed kilku laty wysiadły z pociągu dwie kobiety, dwie zakonnice.

Wysiadły i zamieszkały tutaj.

Istniała już wtedy tutaj gromadka dzieci ludzkich. Pozbierane po drogach za płynąciami wojskami obcych narodów, znalezione na bruku wśród pogorzeli i zgliszcz, podjęte z koczo-wisk repartjantów, wracających z szalającej dzicyzną Sowdepji, podrzucone przez własne matki, przysyłane z więzień dzieci zbrodniarzy, tworzyły zlepieniec, którego cementem był głód. Jakaś litościwa ręka zgarnęła ich, a instynkt gromady, której dawano jeść, utrzymywał. Oczy i uszy tych dzieci widziały i słyszały całą grozę i ohydę zezwierzęcenia człowieka, i życie już nie miało dla nich tajemnic.

Do tej bezdomnej gromadki na leśne pustkowie, wśród zrujnowanych osiedli przybyły zakonnice Urszulanki, jako opiekunki ochrony.

Rozwydrzeni chłopcy, nieuznający potrze-

by posłuszeństwa, ciskali w nie kamieniami, przechwalając się przed niemi ilością kradzieży popełnionych w okolicy. Dziesięcioletnia dziewczynka skupiała koło siebie dzieci, opowiadając im to, co na własne oczy widziała, będąc świadkiem, jak matka zabiła ojca. Pełne nienawiści między sobą, kłótniami i bójką zajęte, zdawały się beznadziejnie stracone dla człowieczeństwa.

Nie wiem od czego zaczęto pracę nad niemi. Mechanicznie wyłączono najdzikszych wyrostków, oddając ich do innych zakładów — sprowadzono kilka siostr do pomocy i zaczęto organizować nowe życie.

Musiano ich uczyć modlitwy codziennej krótkiej. Musiano długo opowiadać z przykładami z życia o tem, czem jest dobry czyn spełniony dla Boga w życiu małych i dużych ludzi. Musiano w nich wytwarzać i budzić przykładem własnym zamiłowanie pracy, porządku, posłuszeństwa i współżycia między sobą. — Musiano to wszystko wszczepiać, bo ja przybywszy tutaj po paru latach tej pracy, zastałem gromadę przeszło czterdzieścioro dzieci, uświadomioną do tego stopnia, że aż dbającą o honor całej Ochrony.

Dzieci poraz pierwszy w życiu poczuły się kochane, i poraz pierwszy same zaczęły kochać.

Wszystko to karnie i sprawnie na głos dzwonka rusza do kapliczki, do roboty, do posilków i na zabawy. Wszyscy patrzą prosto ludziom w oczy, zapytani chętnie wchodzą w rozmowę, a o całej ochronie i jej dobytku żywym i martwym mówią stale „nasze“.

Najmłodszy chłopak przywieziony przez ludzi, niechęcych patrzeć na śmierć stworzeńka skreconego w kłębek, które z głodu ssało własną nóżkę, dziś wyciąga chude ramionka czepiając się szarego habitu siostry kierowniczkii i drepcze o własnych siłach za nią.

Starsze przez lato pracują w polu. Zakonnice kupiły kilka kawałków ubogiej ziemi, uprawiły wytrzebiony na wspólkę z dziećmi grunt, obsiewając żytem i gryką. Zdobyto trzy krowy, parę świnek i jednego konia, którym najstarszy w ochronie dwunastoletni chłopak z dumą orze „naszą ziemię“. Chłopcy paszą „nasz inwentarz“ zbierają siano z wynajętej łąki, zwożą, gromadnie pchając taczkę, mech i igliwie z lasu na podściół dla krów i rękami zrywają „naszą grykę“.

Urodzaje nikłe, bo niema czem udobrzać ziemi. Kartofle tylko w tym roku niezłe, a potrzebny wielki ich zapas na zimę.

Dziewczynki pracują w kuchni, w szwalni, w pralni. Ta ostatnia, (mianowicie prasowanie), może zakasować niejedną pralnię patentowaną wileńską. Część dzieci uczy się zimą w pobliskiej szkole powszechnej; mniejsze w domu przy ochroniarce. — Gdy z bawiacami tutaj młodemi panienkami, jako bezrobotne letniczki zajęłyśmy się skatologowaniem paruset książek w szafie, dzieci gromadkami przychodziły oglądać naklejone numery, ciesząc się że „przy tym porządku łatwiej będzie Siostronom znaleźć książki dla nas“.

Cały ten mały tłumik czuje się już zwarciem społeczeństwem, wytwarza własną opinię publiczną, ba! nawet feruje wyroki. Przyszło to niedawno do Siostry Kierowniczkii po apro-

batę takiego wyroku: „My wszyscy postanowiliśmy dać różdżką Jankowi, bo on ukradł „dziką gruszkę z drzewa, które należy do innych, a potem skrzywdził małego! On robi „wstyd nam wszystkim“. I wyrok tego „sądu“ odbył się najpoprawniej pod okiem najwyższej instancji, a jako uzasadniony moralnie przez „ogół“, musiał wyjść na pożytek delikwentowi.

Czasami mały berbeć pyzaty z miną żołnierza do raportu, zjawia się przed Siostrą Kierowniczką i melduje: „Dziś ja jestem Synek Siostry Kierowniczkii, bo ja byłem gziecny“!

Jest jakiś chłopak, z numerem wyszytym na koszulce: czterdzieści cztery! ale spójrzienie i uśmiech jego niema nic urocznego ani proroczego. Dziwne są nieraz oczy tych dzieci o nieznanym dziedziczościach! Czy wychowanie zdolne będzie zawsze ową dziedziczość zwalczyć?

Na to można tylko powtórzyć z Kochanowskim: „Czyn każdy w sojem kółku“...

Mnie osobiście zaimponowały dzieci te, dwa razy. Raz — kiedy zagadawszy coś do nich po chwili, zamyślona odchodziłam milcząco, maleństwa zaczęły wołać głosem nauczki kulturalnej:

— „Do widzenia Pani“! zaznaczając konwenas przyjęty.

Drugi raz zaimponowała mi nie na żarty definicja władzy, hierarchji i wiary w nią, i myślę, że nie jeden wielki panujący mógłby jej pozadrościć dla swoich poddanych.

Malec przysłany świeżo pyta miejscowego dzieciaka, kto to jest ta Siostra Kierowniczkii, o której ciągle wszyscy mówią? A tamten na to z powagą:

— Siostra Kierowniczkii — to taka osoba, że może pobić wszystkie szyby naszego domu! Ale gdyby to zrobiła, to „znaczy się“, że tak jest dobrze, i „tego trzeba“.

Obrazowe i takie samorodne określenie — niema co mówić!

Kontyngens dzieci w ochronie utrzymuje się przez przysyłanie dzieci z powiatu Wileńsko-Trockiego sierot, za które władze sejmikowe płacą (w różnych ratach) po trzydzieście złotych miesięcznie od główki.

Resztę — muszą dać Siostry, bo i nóżki potrzebują obuwia na mrozy, i „nasza gryka“ nie zawsze wystarczy na wyżywienie tego małego społeczeństwa, które dziś już jest nagrodą za owe rzucanie kamieniami — i przechwałki ile kto czego ukradł w okolicy, lub między sobą.

W niedzielne dni, drewniana ubożuchna kapliczka przy ochronce rozbrzmiewa w czasie Mszy Św. chórem głosików dziecięcych, których echa przez otwarte okna lecą po leśnej przestrzeni. W południa świąteczne rój dzieci rozsypuje się wśród sosenek tonąc w różowoliljowych wrzosach. Słońce Boże haftuje pustkę leśną i ściela się po kobiercu zieleni i ametystów. Nici Babiego Lata oplatają srebrem krzaki i trawy, a promienie słoneczne załamują się tęczowo w brylantach rosy na kiściach sosen i na pajęczynie. Chór śmiechu i wykrzyków radości zdaje się wołać do motyli zwisających nad wrzosami i dziećmi, do całego świata: — Piękne jest życie!

I wtedy bór wygląda mniej karłowaty,

ruiny domów mniej widmowe i szlaki deptane zimą przez wilki — mniej straszne!

Bo jest piękne życie tam — gdzie ono czerpie moc twórczego czynu z wiary Bożej, z poświęcenia człowieczego i z miłości dla ludzi.

.....

A na zakończenie dodać trzeba i to. Zarówno Siostra Kierowniczka, owa wszechmocna „tak że aż wszystkie szyby pobić może“ — jak i jej przełożona w Zakonie, szanowana i kochana przez całą Polskę i w wielu krajach zagranicą, jako zasłużona w kościele i w szkolnictwie działaczka, obie one są córkami polskich rodów magnackich o historycznych nazwiskach. Obie wyrzekły się życia pałacowego, aby dzielić

z sierotami czarny chleb na spustoszonej ziemi polskiej i leczyć rany duszy, zadane Ojczyźnie przez wojnę.

A tymczasem agitatorzy i przerabiacze świata, w przedwyborczych apetytach, napelniają aż dotąd rynki naszych miasteczek wrzaskiem o „ucisku ludu i wyzyskiwaniu przez panów i burżujów“!

A gdyby tak ich zapytać ile też własnej osobistej pracy położyli dla tego ludu? — Chyba pracą nie można nazwać ani wrzaskliwego wiecowania, ani porzucania dzieci!

Niech będą błogosławieni ci, co takiej „pracy“ — przeciwstawiają prawo Boże i ludzkie.

Ludwika Życka.

Ze starych szpargałów.

II. Na wakacjach.

Od dzieciństwa mego wszystkie zmysły człowieka dziwnie uwielbiałem. Nieraz ubolewałem nawet, że ich więcej nad pięć nie posiadamy. Co to, bywało za rozkosz! kiedy się ze szkół, z Połocka, przyjedzie, na wakacje do domu rodziców! Wbiegam naprzód do garderoby, i widzę, *widzę* memi własnymi oczami hoże dziewczęta; *słyszę* że coś szepta między sobą; nabieram gustu, czyli raczej zaczynam *smakować* w tym przytułku niewinności pasterskiej. Stamtąd wpadam do ogrodu: patrzę aliści jabłka i gruszki obciążają wszystkie drzewa: że aż serce puka; *dotykam*, nieco za twarde; więc nie zrywam, ale na później odkładam. A tymczasem uderzam na porzeczkii kosmaty agrest i w nim okropnie plondruję. Stąd jak strzała, wlatuję do pokoju matki: zmysłem *powonienia* wysledzam, że w szafce są konfitury malinowe, poziomkowe i t. p., garderobiana dąsa się i krzyczy, ja jednak zwycięsko zdobywam słoiczek malin, w którym cały mój smak zatapiam. (Matki wtenczas nie było; znajdowała się w oborze przy dziewczętach).

Uwieńczony pomyslnym skutkiem zwracam kroki moje do stajni; zahaczam nogi w strzemiona i po polu czwałuję, dla rozpedzenia, jak mówi Horacjusz czy tam Owidjusz, plag otrzymanych w ciągu dziesięciu miesięcy, które ze mną razem na siodle się umieściły i jak Boalo dodaje, ze mną też razem rzną galopadę (... et galoppé avec lui).

Pędzę i pędzę białonożką przez rowy i piaski, przez błota i laski i jestem we wsi rodziców mego socjusza szkolnego ... ale o tem kiedyś później się powie.

Z drugiej strony nie lubię zmysłów za to, iż częstemu zmydłaniu, czyli, jakem się potem na lekcjach fizyki dowiedział, częstemu złudzeniu podlegają. Jezuici nam o tej ich niedorzeczności bynajmniej nie mówili, bo też tam żadnej obłudy i żadnych złudzeń nie było. Dopiero w uniwersytecie pierwszy raz (r. 1806) się dowiedziałem, że zmysły nasze doznawają

omamienia i tu dopiero pojąłem jaśnie owo zdarzenie z kołdunami, którego byłem naczynym świadkiem, a które wam, kochani czytelnicy, opiszę.

W roku 1797, — kiedyś się znajdował podczas świąt Bożego Narodzenia na łonie rodzicielskim, daleki, bo o 12 mil od miasta, gdzieś do szkół chodził — pewnego dnia mój ojciec był zaproszony na obiad, o dobrą milę do pana Szambelana. Żem już nie był infimista, a do tego od dwóch miesięcy udało mi się szczęśliwie powitać zmażoną mową rodziców, siostry, braci i całą czeladź, która się do kapitolium nacisnęła, słuchać nowego Tulliusza, ojciec mój nadewszystko czeząc we mnie *signiferum marianum*, o czem się z tej oracji dowiedział, wyjeżdżając do Zabłocia, raczył i mnie wiaść ze sobą. Przybyliśmy do miejsca pożądanego na godzinę 12-tą, gdzieśmy nie mało już gości zastali. Po przywitaniach wzajemnych i uczynieniu adoracji państwu Szambelaństwu, zajęliśmy, jedni siedliska, drudzy stanowiska sobie właściwe. Ledwo godzina upłynęła, kiedy za otwarciem drzwi ukazała się ogromna waza z kołdunami, którą pompatycznie na środku stołu ustawiono. Gospodarz, żartkiego smaku, mając kapryśne w nich upodobanie, pierwszy się posuwa na zwiady, azali dobrze są zrobione? Uchyła nieco pokrywę, i powonieniem zbadać przedsięwzię, czyli też świeżem jest mięso, które jak wiadomo, stanowi grunt i podstawę kołduńskiej dobroci. Aleć zaledwo trzykroć nosem pociągnął, trzykroć razy jego drażliwe nerwy nieprzyjemnego doznały uczucia. Cofnął się, jak Eneas z ujrawszy w piekle Kartaginę, zmarszczył brwi, aż się dwa bieguny stołu zakolysały i tupnąwszy nogą, jakby trójzębem Neptuna, o ziemię, głosem do grzmotu podobnym każe wołać kucharza.

Wchodzi biedak blady i drżący, w postaci Sozya, winowajcy, i koło drzwi lokuje się przy ścianie.

— Jakie to mięso? wrzasnął piorunującym

gardłem p. Szambelan, aż kucharzowi łytki się zachwiały.

— Wołowe, panie!

— Ale śmierzzące!

— Nie panie! świeże.

— Co ty mi jeszcze będziesz gadał! —

i wyzionawszy z zagniewanych ust swoich tę ostatnią groźbę, cisnął o ziemię pokrywę od wazy i rękę w niej zagłębił... *Conticuere omnes*, umilkli wszyscy, kiedy pan Szambelan począł wreszcie, jak z procy, ciskać weń kołdunami. Tu dopiero otworzyła się scena, daleko mocniej zajmująca, niż dialogi połockie, corocznie na św. Ignacy wyprawiane. Kucharz bowiem stał nieporuszony, jak kolos rodyjski oparty na dwóch nogach. Oblicze tylko zwrócił do pana i oczy mocniej wyteżył ku tej dłoni, która nań w zapale gniewu silnie pociski miotła. Nadto, troskliwy o nienaruszalność swej facjaty, manewrował ciągle głową względnie do dyrekcji latających kołdunów, to na lewo, to na prawo. Tak dalece, iż wśród rześkiego gradu bomb unoszących się do koła (bo sześć ich kop było) ani jednego nie otrzymał postrzału. Gospodarz bowiem, w wezbranej sierdzy rozognionego serca, im bardziej żądał umalować twarz i tak już lśniącą, Brandysa, tym bardziej go ręką, złością przejęta, zdradzała. Naresztę kołduny się wyczerpały. I pan Szambelan zasapany, zaperzony i długą walką znudzony wybębnał wreszcie rozkaz, ażeby natychmiast świeże zrobić. Wyszedł wprawdzie z ataku kucharz dziwnym przejrzeniem losów ocalony; ale ściany malowane, lanszafty, kopersztychy za szkłem i garson chrapiący w kącie, okropnych doznały ciosów. Wszystkie się kołduny na nich spłaszczły. Tu jeden zajął miejsce jabłka, które Adamowi Ewa podaje, tam dwa u zaślepionej bogini sprawiedliwości błyszczały zamiast oczu. Owdzie za Mieczysława, wlekący bałwanów do rzeki ciągnęli i topili kołduny. Dalej nos bogini Wenery schował się w kołdunie, gdzie indziej djabeł dostał trzema po ogonie. Historia

nieopisana! Porobiły się karykatury, jakich potem ani w zbiorach Hogarta, ani między szkicami Orłowskiego nie widziałem.

Powtórnie się uciszyło. Studzy weszli z koszami dla zebrania szczątków, jakby rozbitków po morskiej nawałości. Uprzątnęło się co się dało uprzątnąć na prędee, kiedy w pół godziny przyniesiono drugie danie takichże samych kołdunów. Gospodarz wacha je jak wprzód: ni pachną, ni cuchną. Siedliśmy więc do stołu przy dobrym humorze pana Szambelana i jedliśmy podług możności. Jam zjadł 12, a mój sąsiad 26. Gospodarz zlał sobie tłustością kontusz i śmiał się. Córka jego nie mogąc całego połknąć, czwartą część bryłowatości uszczknęła, zapryskła oczy panu Łowczemu, który się pono do niej adresował, i raka upiekła. Pan Krajeży, człowiek dobrze podżyły, z czupryną podgoloną, najrzęczniejszy połykał. Rozmowa się przelewała z ust do ust; uśmiech przeskakiwał od jednych do drugich, dalej pijatyka, dalej śmiech huczniejszy, dalej wrzawa jeszcze niezrozumialsza, dalej to i owo, nareszcie wstaliśmy od stołu.

Każdy się ku wieczorowi bawił ile mu siły kołdunami stargane pozwałały: to w ówika, to w kasztelana, to w arcaby, to w cenzurowanego i t. p. Ja z moim kolegą zrobiliśmy (między nawiasami) wycieczkę do praczkarni, a z tamtąd, że po drodze było, do kuchni, gdzie z żalem tkliwej Dydony kucharz opowiadał nieprzewidziane zdarzenie, którym do żywego był ugodzony. I dowiódł nie gorzej, jak pamiętam od Cycerona za Milonem, że mięso w pierwszych i ostatnich kołdunach było jedno i toż samo. Przekonałem się za tem i to w lat dziewięć, już w Wilnie, iż pana Szambelana zmysł powonienia, czyli węch, uwieść w błąd musiał. Co jest właśnie złudzeniem. (Dalszy ciąg niekoniecznie potrzebny; więc go w następnych numerach czytelnik niech już nie wygląda).
Łaz. Zaprzanic.

ISOLINA-ISOLIN.

I.

Zdarzyło się, że dwie boginki spotkały się na skraju lasu w pobliżu pewnego wielkiego miasta; jedna z nich nazywała się Urganda; była ona w bardzo złym humorze, ponieważ jej nie zaproszono na chrzciny córki królewskiej. Druga, Urgela, była natomiast w znakomitym humorze, ponieważ ją na tę piękną uroczystość zaproszono. U boginek, tak jak u ludzi: wtedy są dobre, gdy humor mają dobry, a złe, gdy niezadowolone.

— Dzień dobry, siostro! — rzekła Urgela.

— Dzień dobry! — odpowiedziała ze złością Urganda. — Sądzę, żeś się wybornie zabawiła na chrzcinach u swego przyjaciela, króla Mataquina?

— O, więcej niż wybornie! Salony były tak oświetlone, że mi się czuło jak w naszym pałacu podziemnym, gdzie ściany i sklepienia są z kryształów lśniących; podawano najdeli-

katniejsze potrawy i wina, tak pachnące i słodkie, że mi się zdawało, iż piję słodycz z kielicha kwiatów; a potem towarzystwo młodych panów i dam, w jedwabiach o wszystkich barwach! Można ich było wziąć za ptaki rajskie. A tańce! tańczono tylko najpiękniejsze w świecie.

— Tak, tak, aż tutaj słyszałam klarnety. Zapewne z wdzięczności za gościnność obdarzyłaś córkę królewską najkosztowniejszymi darami?

— Rozumie się samo przez się! Księżniczka piękna jak dzień będzie, głos jej ma być tak śliczny, jak śpiew fletu, uśmiech jej ma przypominać rozkwitającą różę, słowem ma posiadać wszystkie doskonałości, a w końcu, gdy nadejdzie czas wyjścia za mąż, mężem jej będzie najpiękniejszy król.

— Cudownie! — rzekła Urganda, zaciskając zęby. — I ja ze swej strony chcę okazać się wspaniałomyślną dla twojej królowej.

— O, siostro, nie żyć jej nie złego. Nie

wyrzeknij słówka, którego już cofać nie można. Gdybyś ujrzała młodą księżniczkę w kołysce, podobną do pisklęcia bez piórek, gdybyś widziała uśmiech jej błękitnych ocząt i usteczka koloru róży, nie umiałabyś jej nienawidzić.

— Tak, gdybym ją widziała, ale ja jej nie widziałam. Niechaj więc będzie piękną jak dzień, ponieważ nie mam mocy zmienić tego, coś postanowiła, niechaj głos jej będzie jak śpiew fletu i niechaj jej mężem będzie najpiękniejszy król; tylko...

— Tylko?—powtórzyła zaniepokojona.

— Tylko w tej chwili, gdy wyjdzie zamaż, w pierwszej nocy poślubnej niechaj z dziewczęcia stanie się chłopcem!

Możecie wyobrazić sobie, jak ta przepowiednia przerażała Urgelę! Prosiła, błagała, aby zaklęcie cofnęła. Daremnie! Urganda nie chciała słuchać i ze śmiechem, który spłoszył wszystko ptactwo w boru, zapadła się w ziemię. Urgela udała się w dalszą drogę, z głową spuszczoną, myśląc, jakim sposobem ochronić księżniczkę przed następstwami tak fatalnej przepowiedni.

II.

Gdy księżniczka Isolina miała lat szesnaście, była tak piękną, że na całym świecie mówiono tylko o jej piękności, a ze wszystkich dworów przybywali posłowie najbogatszych i najpotężniejszych monarchów z prośbą o jej rękę. Niestety król i królowa, wiedząc jaka przyszłość oczekuje ich córkę, nie mogli jej nikomu przyrzekać; byłoby też nierozsądnie wydawać za mąż pannę, która w nocy poślubnej miała uleść tak niezwykłej metamorfozie! Dawali więc posłom odpowiedzi wymijające. Isolinie samej, nie wiedzącej o losie, jaki ją miał spotkać w razie zamażpójścia, było obojętne, czy wyjdzie za mąż, czy nie. Pozwalano jej bawić się lalkami i małym pieskiem w alejach ogrodu królewskiego, gdzie jej ptaszki śpiewały: „Twój głos, królowo, jest czarowniejszy, aniżeli nasz śpiew“—i róże mówiły: „Twoje usta są bardziej purpurowe, aniżeli nasze kwiaty“. Królowa czuła się szczęśliwą i nie marzyła o niczem innym; była jak kwiat, nie wiedzący o tem, że może być zerwany.

Raz, bawiąc w ogrodzie, usłyszała gwar na drodze prowadzącej do zamku; podniosła oczy i ujrzała wspaniałego orszak, na którego czele jechał na białym koniu młodzieniec tak piękny, że jego piękność wprawiła ją w nieopisany zachwyty...

Serce jej zabiło żywiej i pomyślała sobie: „Jakże on piękny!“—i po raz pierwszy przyszła jej myśl, że gdyby ów młodzieniec poprosił ją o rękę, nie czułaby się nieszczęśliwą...

Młodzieniec tymczasem spostrzegł ją także i, olśniony jej pięknnością, zatrzymał się.

— Obyś ty była córką króla Mataquina—zawołał—ponieważ ją chcę pojąć za żonę, nad ciebie zaś niema piękniejszej istoty na świecie!

— Jestem nią!—odrzekła Isolina.

I nie mówili już więcej ze sobą; patrzyli tylko na siebie z zachwytem. Serca ich zapło-

nęły takim uczuciem miłości, że go w słowach nie można wyrazić.

III.

Proszę sobie wyobrazić, w jakim kłopotcie znaleźli się król i królowa. Nie był to poseł, któremu można było dać odpowiedź wymijającą, lecz ich córka własna, prosząca ze łzami o zezwolenie i przysięgająca, że napewno nabawi się choroby, jeżeli jej nie dadzą królewicza, — lub nawet, że umrze...

Z drugiej strony księżę Djament, jako syn cesarza Golkonda, groził, że, w razie odmowy, ojciec jego wypowie wojnę i wyśle przeciw nieprzyjacielowi w pole cztery lub pięć armij, z których jedna wystareza do podbicia kilku królestw. Należało obawiać się jego zemsty, gdyby mu odmówiono ręki królowej. Wyjawienie tego, jaki los oczekuje Isolinę, nie byłoby drogą wyjścia, ponieważ król nie byłby temu uwierzył, lecz myślał, że to drwiny.

Torturowani prośbami córki i przerażeni groźbami księcia, król i królowa postanowili zgodzić się na żądanie i czekać z rezygnacją tego, co nastąpi. Postanowiono więc ślub—i w całym królestwie nie było dwojga ludzi szczęśliwszych od obojga zakochanych.

IV.

W rzeczywistości król i królowa nie mogli całej nocy po ślubie zmrużyć oka. Co chwila zdawało im się, że słyszą krzyki, że drzwi się otwierają, i że w nich zjawia się księżę z twarzą przerażoną i z obłędem w oczach. Atoli nie nie zamąciło ciszy nocnej; pomału wracał im spokój; sądzili, że mściwa boginka zaklęcie cofnęła—i gdy dzień nastał, udali się do sali tronowej, dokąd wkrótce mieli przybyć nowożeńcy po błogosławieństwo królewskie i rodzicielskie.

Podwoje otworzyły się.

— Córko! — zawołał król z przerażeniem.

— Isolina! — wyjękła królowa.

— Nie jestem więcej waszą córką, lecz waszym synem, mój ojciec; nie jestem Isolina, lecz Isolinem, matko.

I mówiąc to nowy księżę, piękny i dumny, pokręcił wężem.

— Wszystko stracone! — rzekł król.

— Okropność! — rzekła królowa.

Atoli Isolin, zwracając się ku drzwiom, odezwał się pieszczotliwie:

— Pójdź tu, najdroższa Djamentino! Dlaczego jesteś tak strwożona? Zazdrościłbym ci tego rumieńca, gdyby ci nie było z nim tak do twarzy.

* * *

W chwili, w której z księżniczki zrobił się chłopiec, księżę zamienił się w dziewczynę; a stało się to dzięki Urgeli, która w ten sposób następstwom fatalnym zaklęcia Urgandy zapobiegła.

Catulle Mendés.